Wystawa prac Adama Fiali w Domu Polonii w Krakowie

27 czerwca w Galerii Domu Polonii w Krakowie, Rynek Główny 14, miał miejsce wernisaż prac artysty z Perth w Australii – Adama Fiali. Wystawę można oglądać do końca lipca 2018 r.



Adam Fiala – Credo twórcze

Jestem pół Polakiem pół Australijczykiem, ale ta pierwsza połowa może zawsze urosnąć.

Na australijski kontynent rzuciła mnie ciekawość świata, a zaspokojenie jej zawdzięczam Generałowi Jaruzelskiemu. Ale godnie z arią Jontka z opery narodowej „Halka”, nie mam żalu do nikogo i prywatnie w ogóle nie lubię mieć żalu, zwłaszcza po upływie czasu. Gdy zobaczyłem przebywając „na azylu” w ówczesnej Niemieckiej Republice Federalnej pismo z australijskiej ambasady z symbolem kangura i strusia

równocześnie pomyślałem: O! to dla mnie sprawa. Oznacza perspektywę Nowego, bo już dość miałem ciągle powtarzanego w Polsce słowa odnowa. Nawiasem mówiąc napisałem w Niemczech taką powieść, ale zaginęła w Londyńskim Wydawnictwie *Polish Books Fund*. Powiedzieli wtedy, że nie mają pieniędzy, bo zbierają je na książkę o księdzu Popiełuszce Uznałem ich racje, w końcu byłem męczennikiem w dużo mniejszej skali.

Tu w Australii czuję się czasami kimś w rodzaju sienkiewiczowskiego Latarnika. Nie trudno to sobie wyobrazić, bo mieszkam od lat w pobliżu Oceanu Indyjskiego. Polskę interesuje Atlantyk, Amerykę Pacyfik, a ja temu się przyglądam z wybrzeży Oceanu Indyjskiego.

Moje wykształcenie jest bardzo prozaiczne. Magister praw UMCS w Lublinie. Ale prawie od początku świadomego życia interesowały mnie równolegle trzy dziedziny: literatura, art i muzyka. Jako dziecko pisywałem wierszyki patriotyczne, żyło się wtedy wspomnieniami o Makach na Monte Casino, rysowałem też i malowałem pociągi parowe z wielkim dymem z lokomotyw. Lokomotywy były zawsze moją pasją. Uważałem je za żywe, sapiące stworzenia. Nic dziwnego że bardzo lubiłem rytmiczny wiersz Tuwima „Lokomotywa”.

Po latach zagrałem go na australijskim *didgeridoo*. Co do muzyki

to miałem prywatnego nauczyciela, kiedyś takie lekcje były modne wśród inteligencji, później nazywano ją inteligencją pracującą, a nawet twórczą i w tej ostatniej kategorii się mieściłem, nawet nie mając tytułów doktorskich czy profesorskich. Na studiach interesowało mnie prawo międzynarodowe. Do dziś kocham politykę. Ale wylądowałem ostatecznie jako radca prawny spółdzielni Samopomoc Chłopska na terenie województw lubelskiego, a później warszawskiego. Nie narzekałem, bo też musiałem być dyplomatą by się utrzymać na ćwiartkach czy połówkach, które dawały mi dobrą pensję w wysokości wynagrodzenia górnika dołowego, oczywiście po zsumowaniu. W jednym roku miałem chyba z pięć trzynastych pensji i nagród. Paradoks zrządził, że najlepiej zarabiałem właśnie w Polsce przed okresem stanu wojennego. Praca na radcostwach dawała mi mnóstwo wolnego czasu i pisałem prozę za prozą. Iskry to wydawały, honoraria były zbliżone do wartości małego Fiata.

Równocześnie sprzedawałem obrazy za tak zwane dewizy w BHZ Desa, biuro mieściło się w Alejach Jerozolimskich w Warszawie.

Stan wojenny przeciął to wszystko tak jak się przecina żywego człowieka piłą. W życiu nie wiadomo co człowieka spotka.

Jeżeli chodzi o muzykę, to gdy pojawił się Elvis przestałem grywać Chopena, skończyłem z prywatnymi lekcjami i zacząłem

walić w rozstrojone pianino śpiewając udawaną angielszczyzną.

Pozostało mi to do tej pory, bo komponuję piosenki także w języku angielskim. Ale za diabła nie chciałbym pisać prozy w tym języku. Moje pierwsze piosenki przesłuchał ówczesny dyrektor Lubelskiej Filharmonii Adam Natanek i o dziwo dobrze je ocenił. Dzięki niemu uzyskałem legitymację refrenisty drugiej kategorii w lokalach gastronomicznych. Mam szereg takich legitymacji. Druga to ZAiKSU, trzecia ze Związku Literatów Polskich, a następnie i ze Stowarzyszenia Literatów Polskich. Ale ciągle mam wyrzuty sumienia, że nie płacę składek, więc chyba jestem tylko honorowym członkiem tychże organizacji.

Podczas kilkunastoletniego pobytu w Warszawie muzykę zawiesiłem na kołku, bo nie miałem instrumentu, poza nowo narodzonym synem. Ale w Australii na wystawce na trawniku znalazłem pierwszy *keyboard* i tak się zaczęła moja nowa przygoda z piosenkami i jak to nazywam Romantycznym Jazzem. Piosenki przychodzą mi same, podobnie jak art czy literatura. I nie odganiam ich, wykorzystuję. W Australii czułem się artystycznie dobrze. Zainteresowali mnie Aborygeni, noblista Patrick White oraz malarze, ale organizacyjnie jako *etnik* z Polski nie wyrabiałem się. Zresztą wolałem czas poświęcić na tworzenie a nie dreptanie z listami proszalnymi.

Zawsze mnie odsyłano do Polonii w Perth, która nie była dla

mnie zbyt łaskawa, ponieważ byłem nietypowym emigrantem. Z pracą było ciężko, ponieważ uważano mnie wówczas w Australii za starego, skończyłem 40 lat, i w ogóle wtedy było spore bezrobocie. Przeżywałem długotrwałe okresy depresji, lecząc się u polskiej lekarki. Ta depresja spowodowała rozpad mojego małżeństwa, tak że po pewnym czasie staliśmy się tylko przyjaciółmi, współpracującymi artystycznie.

Obecnie w Australii podobnie jak i w Polsce bezrobocie jest bardzo niskie, ale ja już mam 77 lat i żyję z emerytur: australijskiej i w małym zakresie z polskiej jako dodatku na mocy porozumienia tych dwóch państw.

Wracając do działalności artystycznej, która była dla mnie dodatkową terapią, to lubię bardzo sam proces tworzenia, bo nigdy nie wiadomo jaki będzie ostateczny wynik. Jestem czynnym polskim patriotą, brałem udział w Sydnejskich konkursach rocznicowych związanych ze Strzeleckim i Kościuszką i otrzymywałem nagrody, nawet specjalną z polskiego konsulatu za balladę o Górze Kościuszki.

Prawdziwego kopniaka dała mi krakowska „Miniatura” z szefem Mieczysławem Mączką. Dzięki niemu wydałem 10 całkowicie własnych pozycji i ilustrowałem ponad 70 tomików innych poetów i poetek. Za jego pomocą poznałem poetę Henryka Reja, z którym współpracuję od paru lat jako grafik – opublikowaliśmy

„Heads”. On potrafi dowcipnie i lapidarnie skomentować każdy mój rysunek i ma podobne zainteresowania muzyczne.

Są dwie osoby jeszcze, którym zawdzięczam wiele. Pierwsza to Teresa Podemska-Abt, która mnie na nowo odkryła jako poetę i zainteresowała mną fachowe pisma poświęcone literaturze oraz „Odrę”. Druga to Bogdan Nowicki, mamy wspólne zainteresowanie twórczością Franza Kafki. Opublikował o mnie teksty w „Migotaniach” i „Twórczości”, jego krytyka literacka jest dla mnie sporą pomocą, po prostu odkrywa mnie dla samego siebie – lepiej rozumiem czym się zajmuję.

Poza tym publikuję wiersze w „Polska-Kanada” magazynie twórczym redagowanym przez poetę Aleksandra Rybczyńskiego oraz w Culture Avenue. To jest też digitalny magazyn redagowany przez Joannę Sokołowską – Gwizdka, autorkę książek o polskiej kulturze emigracyjnej, szczególnie o teatrze. Mam bardzo duże „Body of Work” w każdej z tych dziedzin, publikuję dosłownie szczyt góry lodowej.

Światło Południa, magiczne, nastraja do twórczości, a o resztę nie trzeba się martwić. W twórczości pomaga mi naturalna łatwość skojarzeń, wyobraźnia, podświadomość i przetwarzanie obserwacji z życia codziennego. Cenię nowoczesną sztukę, ale sam najchętniej sięgam po piórko czy pędzel. Cenię też bardziej klawiaturę maszyny do pisania niż komputera. Wymyśliłem

rodzaj kompaktowej noweli pisanej wersem, mam takie dwie książki: e – booki na Internecie. Obecnie przestawiłem się z prozy na poezję. Piszę też felietony i aforyzmy, aktualnie publikuję regularnie „Punkt widzenia” na facebooku (FB).

Moje credo artystyczne jest bardzo proste. Salutuj Wielkim, ale twórz tylko we własnym stylu. Może to być gorsze, skromniejsze ale własne. Pomaga mi też psychologia, studiowałem trochę filozofii chrześcijańskiej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, ale przerwałem, ponieważ potrzeby finansowe skierowały mnie do prokuratury w Gdańsku jako aplikanta. Byłem też na aplikacji adwokackiej w Olsztynie. Te wszystkie okresy zsumowałem, ponieważ były potrzebne do egzaminu na radcę prawnego. Było to najlepsze rozwiązanie.

Najwięcej o Polsce wiem z telewizyjnych Wydarzeń Polsatu, który lubi piłkę i muzykę disco, ale też potrafi spojrzeć wnikliwie w zakamarki polskiego życia, że nie powiem duszy.

Galeria Domu Polonii w Krakowie

wernisaż prac Adama Fiali, 27 czerwca 2018 r.



Pierwszy z lewej – dyrektor Domu Polonii w Krakowie, Kazimierz Dobrzański, w środku – prezes Fundacji PAW (Polish Artists in the World) i organizatorka wystawy, Henryka Milczanowska.









Rysunki Adama Fiali na wystawie w Krakowie.

Wywiad z Adamem Fialą:

http://www.cultureave.com/adam-fiala-artysta-niepokorny/

Australijskie noce i dni Adama Fiali

Od 27 czerwca do 15 lipca 2018 r. trwać będzie w Krakowie w Galerii Domu Polonii, Rynek Główny 14, wystawa rysunku i malarstwa Adama Fiali, artysty mieszkającego w Australii. Wernisaż odbędzie się w środę, 27 czerwca, o godzinie 18.00.



ADAM FIALA

MOJE AUSTRALIJSKIE NOCE I DNIE

malarstwo, rysunek

27 czerwca - 25 lipca 2018 Galeria Dom Polonii

Rynek Główny 14, Kraków

Adam Fiala

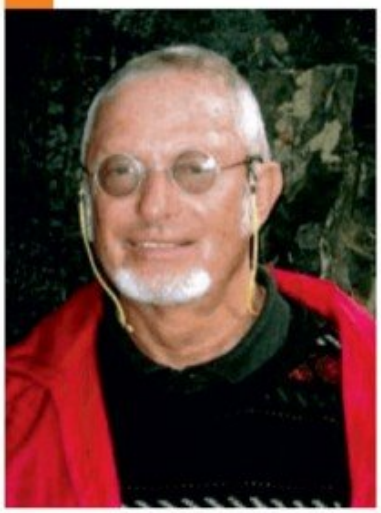

Pisarz, poeta, grafik i ilustrator, urodził się w Lublinie, w 1985 roku wraz z rodziną wyemigrował do Australii.

Z wykształcenia prawnik, debiutował utworami poetyckimi i grafiką w *Kamenie* w latach 70-tych dwudziestego wieku, a później publikował w *Akancie*, *Naszym Dzienniku* i *Metaforze*. Swoją pierwszą powieść *Jeden myśliwy, jeden tygrys* napisał w 1976 roku, odnosząc sukces i uzyskując pochlebne recenzje krytyków. Kolejne, również dobrze przyjęte powieści, powstały w latach 1977-1979 - *Sprawy rodzinne*, *Zygzakiem po prostej* oraz *Termiterium wisielców*.

W Australii Adam Fiala kontynuuje pracę literacko-artystyczną, pisze wiersze, prozę satyryczną, rozwija również swoje zainteresowania w kierunku plastyki i muzyki. Jego wszechstronne pasje poszerzają się wraz z akceptacją życia w nowej ojczyźnie, w otoczeniu dzikiej przyrody i rdzennych mieszkańców Australii. Twórca sam siebie określa „w połowie Aborygenem, a w połowie Polakiem", co niewątpliwie odzwierciedla się we wszystkich kierunkach Jego działalności artystycznej. Prace malarskie i rysunkowe Adama Fiali nie pozbawione są satyry i ironii, oscylują pomiędzy ekspresją sztuki zachodu, a magicznym światem życia rdzennych Australijczyków.

Ulubionym gatunkiem poetyckim artysty są aforyzmy i ostatnimi czasy haiku. Od kilku lat Adam Fiala współpracuje z krakowskim wydawnictwem Miniatura, gdzie wydał już kilkadziesiąt tomików poezji, ilustrowanej swoimi rysunkami i grafiką. Są to dzieła o głębokiej refleksji filozoficzno-moralizatorskiej, z ogromną dozą humoru i dystansu twórcy do siebie i świata. Od 2008 roku ilustruje również książki zaprzyjaźnionych pisarzy i poetów. W Australii stale publikuje w *Pulsie Polonii* i *Przeglądzie Australijskim*. Jego utwory znajdujemy również na stronach internetowych amerykańskiego wydania *Culture Avenue* i w *Magazynie Twórczym Polska-Kanada*.

Fundacja Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989
oraz Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”,
Galeria Dom Polonii w Krakowie

mają zaszczyt zaprosić na

WERNISAŻ MALARSTWA I RYSUNKU

ADAMA FIALI

w oprawie poezji z gościnnym udziałem
poety i aforysty Henryka Reja
oraz Mieczysława Mączki
z wydawnictwa Miniatura w Krakowie

27 czerwca 2018 r. (środa) godz.18.00
Galeria Dom Polonii w Krakowie
ul. Rynek Główny 14

Organizatorzy wystawy:





Adam Fiala jest artystą wielokrotnie prezentowanym w magazynie Culture Avenue. Oto wywiad z artystą oraz jego wiersze, rysunki i haiku:

http://www.cultureave.com/adam-fiala-artysta-niepokorny/

http://www.cultureave.com/adam-fiala-turpizm-australijski/

http://www.cultureave.com/adam-fiala-wiersze-i-rysunki/

http://www.cultureave.com/posiwiala-rzeka-haiku/
http://www.cultureave.com/poranek-na-bagnach-haiku/
http://www.cultureave.com/australijskie-swieczki-haiku/
http://www.cultureave.com/na-skrzydlach-kormoranow-haiku/

_____

Wystawa prac trójki artystów: Anny Fiali, Adama Fiali oraz ich syna Andrzeja Fiali ukaże się w środę, 4 lipca 2018 r.

Adam Fiala. Turpizm australijski.



Adam Fiala grający na didgeridoo – tradycyjnym instrumencie Aborygenów, fot. Andrzej Fiala.

Adam Fiala urodził się 30 października 1940 roku w Lublinie, w Halloween. W Polsce nikt o tym święcie wtedy nie wiedział. Adam cieszył się więc, że jego urodziny nie przypadły 1 listopada w Święto Umarłych lub w Dzień Zaduszny dnia następnego. Jednak Halloween wywarło wpływ na każdą dziedzinę jego twórczości – pisarstwo, sztukę i muzykę. W dzieciństwie rysował i malował głównie lokomotywy parowe, którymi był zafascynowany. Lokomotywa kojarzyła mu się z potężnym zwierzęciem, obdarzonym niewyobrażalną energią. On sam się do dziś czuje, jak taka pełna energii lokomotywa. Miał przerwy w uprawianiu trzech rodzajów twórczości, ale na przekór właśnie te przerwy wydatnie pomogły w jego dalszym rozwoju.

Skończył prawo i dobrze sobie radził jako radca prawny w terenowych jednostkach w Spółdzielni Samopomoc Chłopska. Unikał prac ambitniejszych, np. w międzynarodowym handlu, w którym brała udział Polska, żyjąca w tzw. rozwiniętym socjalizmie, który potem zaczął się zwijać.

Jego pierwsza emigracja to wyjazd do Warszawy. Malował wtedy głównie fantazyjne architektury, które sprzedawał na Zachód właśnie za pośrednictwem Desy – Biura Handlu Zagranicznego.

Stan wojenny w Polsce przeciął jego życie na pół. Druga połowa też okazała się interesująca, bo zaprowadziła go do Australii…

Nazwiska, które go w sztuce szczególnie fascynowały to Nikifor, Van Gogh i Picasso. Tak jak ten ostatni, potrafi namalować i narysować wszystko, od obrazów z fantazji, przez kompozycje abstrakcyjne, do portretów i pejzaży, które lubi ze względu na przyrodę australijską. Wypracował sobie własny styl w trzech dziedzinach tówrczości.

Współpracuje z Wydawnictwem „Miniatura”, miesięcznikiem internetowym „Polska Canada” oraz internetowym magazynem kulturalnym „Culture Avenue”.

Skomponował około 300-tu piosenek.

Jest seniorem, ale jego energia wrasta, tak jak w rozpędzonej lokomotywie parowej, która go fascynowała od dzieciństwa.

Adam Fiala na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/adam-fiala-wiersze-i-rysunki/

http://www.cultureave.com/adam-fiala-artysta-niepokorny/

Galeria


AE







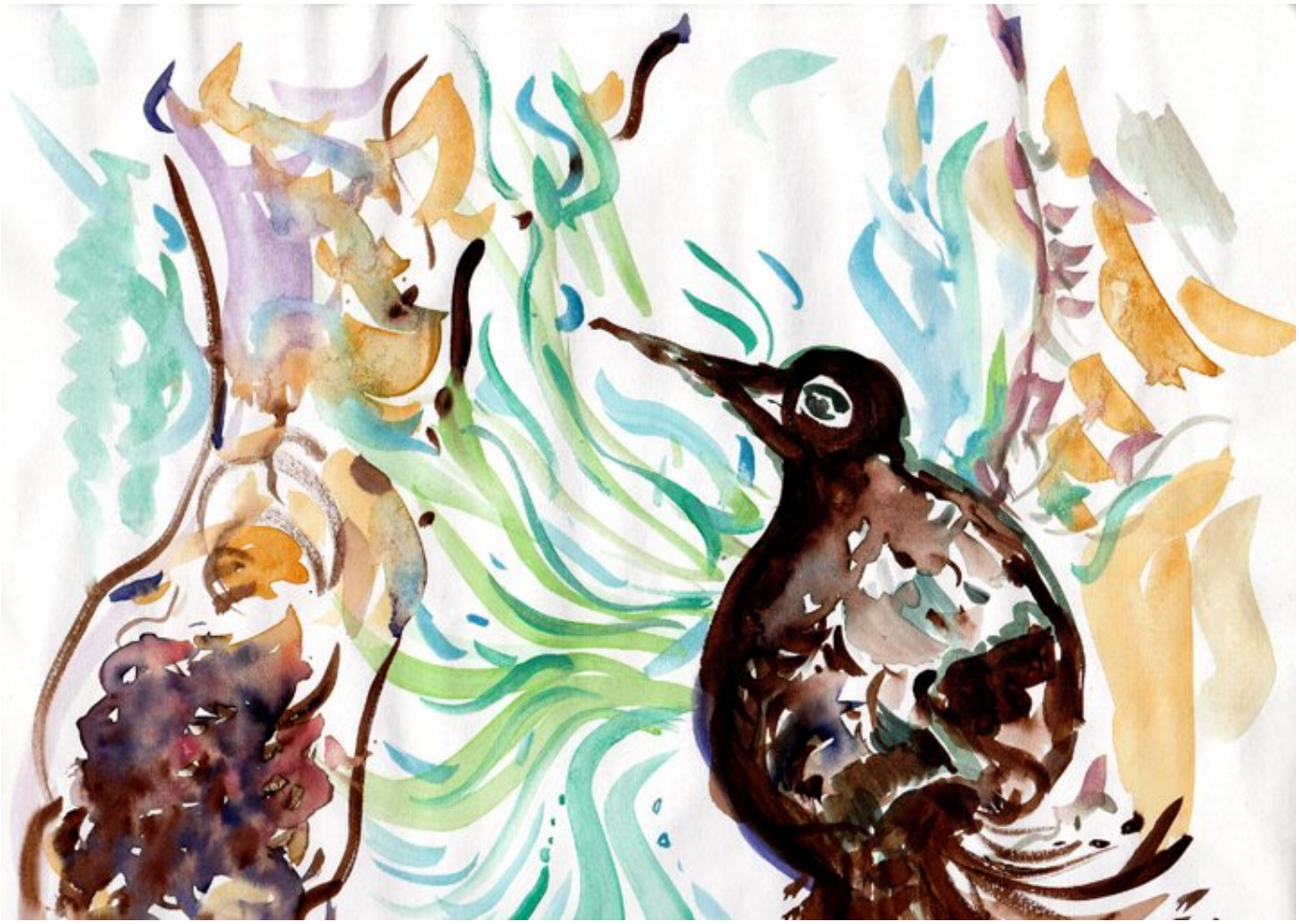


5
POST
AF


AF
17


AF
17


AF
17


RF
17


RF
17






TOOT
RF
17


RF
17




AF
17




AF
17


AF
17




F
D

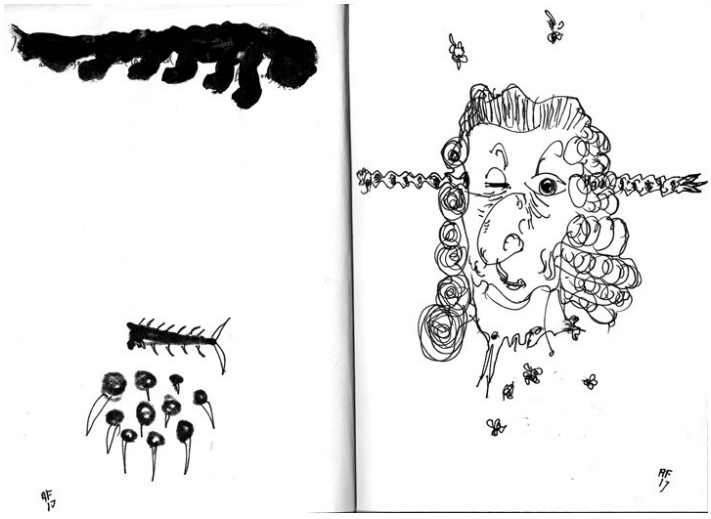



Cztery portrety

Wilek Markiewicz

Przeglądając ostatnio moje stare prace przywiezione z Europy, powróciły mi wspomnienia związane z niektórymi portretami.

Może będzie kiedyś okazja by je pokazać na retrospektywnej wystawie, w każdym razie historia ich wydaje mi się dość ciekawą, aby jej nie zatrzymywać tylko dla siebie.

Wilek Markiewicz, torontoński artysta, zmarł w listopadzie 2014 r. w Toronto.

Janek (rysunek)



Wilek Markiewicz, Janek

Niestety, nie mogę podać jego nazwiska, choć – jak czytelnicy zmiarkują – ma ono swe znaczenie w historii. Janek urodził się bądź w Westfalii, jak jego rodzice, bądź we Francji. Miał w sobie trochę krwi niemieckiej, nie wiem, czy po mieczu, czy po kądzieli. Po polsku mówił poprawnie, po francusku, jak Francuz. Podczas wojny miał ok. 9 lat. Ojciec oddał go do Hitlerjugend. Poznałem ojca, przemiły pan, co widocznie jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Janek opowiadał mi jak smarkacze w jego wieku zarąbali się na śmierć szablami w pojedynku. Miał twardą szkołę w Hitlerjugend. Nie afiszował się tym zbytnio i prosił mnie o dyskrecję, którą utrzymuję… Był gorącym polskim patriotą i raz, podczas dyskusji z kolegami na temat europejskiego federalizmu, perorował: „Sobieski był federalistą?! Bolesław Chrobry był federalistą?! Federalizmy to żydowskie wymysły!”

Pomimo oznak twardości i zdziczenia Janek był sentymentalny. Ja byłem jednym z niewielu, który zdawał sobie z tego sprawę i może dlatego byliśmy przyjaciółmi. Janek kochał dziewczęta z wzajemnością. Opowiadał mi, jak najbardziej sofistykowane kobiety stawały się ladacznicami u niego w łóżku i wierzyłem mu, bo Janek nie miał imaginacji. Związał się z bardzo ładną Francuzką, ona mu pomagała finansowo, gdy coś tam studiował, później pobrali się. Przyszła wojna w Algierii i Janek został zmobilizowany. Opowiadał mi jak rżnęli Arabów i mogę sobie wyobrazić Janka w akcji.

Gdy go spotkałem już po wojnie, całe jego życie zaczęło spadać ostrą krzywą w dół i chyba się już nigdy nie podniosło. Podczas jego pobytu na froncie żona go opuściła. Nie mogę jej potępiać nie znając faktów. Janek mógł być niemożliwym do współżycia. Wróciwszy do domu w poszarganym uniformie znalazł mieszkanie zamknięte na kłódkę i musiał iść spać do hotelu. Zdaje się, że był ranny i schorowany. Z armii pozostały mu czarne wspomnienia. Ktoś zrobił z niego Żyda, że jego nazwisko brzmi jak Mojżesz! Żałuję, że nie mogę zacytować jego nazwiska, aby się czytelnicy przekonali, jaki to absurd. W każdym razie Janek z Hitlerjugent i z mordą SS-mana zbierał cięgi za żydostwo. Nie pytałem się, kto mu ten kawał wyrządził: Polak, Francuz czy Niemiec – armia francuska jest wielokulturową, jak Toronto. Nie zajmowałem się wtedy tymi sprawami. Ubawiło mnie tylko to, że z nim służył autentyczny Żyd, sąsiad jego rodziców. Obie matki przyjaźniły się i obie płakały nad losem swoich synów.

Straciłem z nim kontakt i gdy go ujrzałem po roku zmiarkowałem, że się chyba nie pozbierał ze swych przeżyć. Chodził po ulicy nocą w towarzystwie obwiesiów, sam jakby pod wpływem narkotyków czy alkoholu. Był w wisielczym humorze. Czułem, że nie mamy ze sobą nic więcej wspólnego, że ani on mnie nie potrzebuje, ani ja dla niego nic nie mogę zrobić – i pozostałem niezauważony.

Esteban czyli Stefan (olej)

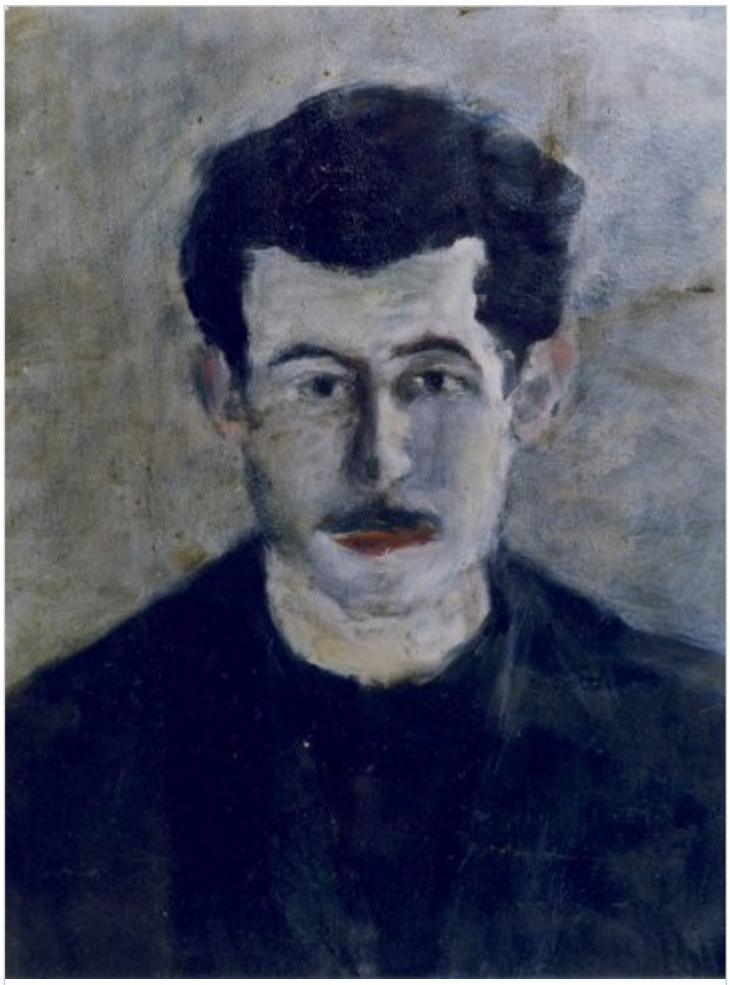

Wilek Markiewicz, Esteban

Esteban jest Hiszpanem, z matki Katalonki, ojca Andaluzyjczyka. On sam wychowany w katalońskim miasteczku, przybył z Barcelony do Paryża ze snami glorii dziennikarskiej, jako wysłannik tamtejszego pisma ilustrowanego. Posiadał wielką wrażliwość pisarską, lecz do osiągnięcia sukcesu brakowało mu trzech podstawowych rzeczy: 1) inteligencji, 2) wykształcenia, 3)

pieniędzy. W Barcelonie, w swym piśmie posiadał rubrykę a la „Dear Abby”, z której wywiązywał się na pewno nieźle, ponieważ umiał wniknąć w sytuację z życia i miał religijną moralność do przyjęcia przez ogół. Lecz zachciało mu się szerokich wód i oto znalazł się w Paryżu. Jego rolą miały być wywiady z rozmaitymi „gwiazdami” piosenkarstwa i telewizji. Lecz nie znał jeszcze zbyt dobrze francuskiego. Dał mi do przeczytania swe krótkie historie, z których jedna zrobiła na mnie głębokie wrażenie. Mowa tam o młodym malarzu, który pod wpływem konfliktu opuścił swój dom rodzinny i miasteczko, i wylądował z mizerną sumą pieniędzy w Barcelonie. Na rogu ulicy zobaczył młodą pociągająca prostytutkę i z młodzieńczą beztroską postanowił wydać na nią ostatni grosz. W hoteliku weszli w przyjacielską rozmowę i opowiedział jej swą historię. Ona mu rzekła: „Moja historia jest nieco podobna do twojej, tylko dla mnie jest już za późno. Wracaj do domu, do ojca i matki, nim moloch miasta nie pochłonie i ciebie”.

Było to tak ciepło opowiedziane i takim prostym językiem, że wczułem się w sytuację, jakbym był przy tym. Powiedziałem Estebanowi: „Jestem zachwycony, ty jesteś hiszpańskim Balzakiem od prostych spraw. Oto czego nie powinienem mu był powiedzieć. Uraziłem go, że nie potrafi pisać o niezwykłych sprawach i zaczął wypisywać jakieś szmiry o miłości i mordach a la „soap opera” i nie rozumiał dlaczego mi się to nie podoba. Prawdopodobnie posądzał mnie o zazdrość.

Historia Estebana jest niestety również historią upadku, choć walczył z podziwu godną wytrzymałością. Właściwie młodość pozwoliła mu przetrwać. Srogą zimą paryską, która jest zimniejsza od torontońskiej, tyle że bez śniegu, wychodził późnym wieczorem ode mnie – nie wiedziałem dlaczego, z tak krzywą miną. Otóż spędzał noce pod gołym niebem, w jakimś cieplejszym kanale wydechowym między włóczęgami i degeneratami. Tajemnicę umiał zatrzymać dla siebie. Moja żona mawiała: „Dlaczego Esteban tak śmierdzi – nie zmienia odzieży, czy co?". Raz go spotkała na ulicy w tym stanie i powiedziała mu: „Esteban, albo się pozbierasz, albo wracasz do Hiszpanii". Był u nas parę dni, po czym znalazł pracę i pomieszczenie. Został sprzątaczem w jakiejś publicznej pływalni. Pomimo, że otrzymywał z początku ciepłe listy z redakcji, utracił w końcu kontakt ze swoim pismem. Przechodził przez życie wciąż ze swym chaplinowskim uśmieszkiem, lecz nie był to już ten sam Esteban. Stał się brzydkim cynikiem, przypuszczalnie bez dawnej religijności i moralności, co dla człowieka prostego może być bardzo niebezpieczne. Twierdził, że jest zadowolony i przypuszczalnie był nim. Mawiał: „Gdyby mi zaofiarowano redaktorską pozycję w Buenos Aires, powiedziałbym, by ją sobie zatrzymali dla siebie". Twierdził, że nie chce utracić kontaktu z Europą, lecz czym była dla niego ta Europa? Późną nocą, po pracy zupa cebulowa w paryskich Halach, później – gdy akurat nie miał kochanki – prostytutka. Bez wstrętu i z odrobiną ciekawości, opowiadał mi o rozmaitych propozycjach, które

otrzymywał przy pracy w pływalni. „Esteban, na miłość boską, trzymaj się z daleka” – mówiłem mu. Z zagadkowym uśmieszkiem przyjmował, co by mu nie powiedziano. Ponoć wyjechał do Hiszpanii z uciułaną gotówką i ożenił się. Nie wiem, co się z nim stało, jako że nasza przyjaźń się zerwała, z przyczyn nie należących do tematu.

Carol (pastel olejny)



Wilek Markiewicz, Carol

Poznałem ją w Paryżu, gdzie pracowała jako służąca. Pochodziła z chłopskiej rodziny z okolicy Burgos (płn. Hiszpania). Została wówczas sierotą i ojciec z macochą traktowali ją całkiem nie po ludzku. W wieku lat 5-ciu oddali ja do klasztoru. Tam też nie traktowano ją poprzez jedwabne rękawiczki, po prostu Hiszpania była twardym krajem, gdzie najsilniejsi przeżywali. Już w wieku 5-ciu lat Carol szorowała klasztorne podłogi i prała odzież od samego świtu, do późnej nocy. Stała na krześle z nałożonymi belkami, żeby móc dosięgnąć balii. Matka przełożona zorientowała się co do bystrości Carol i mawiała: „Ty się ucz, a przerośniesz i swą kondycję i innych". Dzięki pomocy przełożonej i własnych, wcześnie rozbudzonych ambicji, Carol nauczyła się wiele, w warunkach, gdy inne pozostały analfabetkami. W czasie wojny domowej, Burgos było miejscem koszarowym dla Niemców i Włochów, którym się podobała ta mała blondyneczka i obdarowywali ją czekoladkami. Jedni z niewielu, którzy okazali jej trochę życzliwości – prócz przełożonej. Pozostawiła po nich wdzięczne wspomnienie – plus faszyzm. To ostatnie jej później przeszło, ale o tym zaraz. Nie wyrosła i prawdopodobnie skutkiem zaburzeń hormonalnych, wywołanych trudem i niedożywieniem, twarz jej została wydłużoną. Słowem była bardzo brzydka, mimo żywych jasnych oczu i blond włosów. Pracę mogła otrzymać tylko jako służąca i chłopcy parskali na nią. Jako dobra Hiszpanka i w instynkcie samoobrony zrobiła się kąśliwa jak osa i agresywna jak pantera. Ponieważ klasztor był jej jedynym domem, a przełożona jedyną matką, nie opuszczała

niedzielnej mszy, lecz nie była bigotką. Jej podejście do życia było po hiszpańsku pragmatyczne. Na pewno miała kochanków, choć nie interesowałem się jej prywatnym życiem. Jednego poznałem, był to Chorwat, który przypuszczalnie by się z nią ożenił, lecz jej brzydota przezwyciężyła jej wszystkie niepospolite zalety. Rozstali się jak pies i kot. Carol była maleńka, ale nie obawiała się ni diabła. Cokolwiek zaszło, on utracił parę piór.

Opuściła Paryż z pieniędzmi, które jej pozostały i osiedliła się w Madrycie. I teraz zaczyna się dla nas najciekawszy rozdział jej życia. W wieku ponad 50-ciu lat Carol ukończyła doktorat z literatury francuskiej na uniwersytecie w Madrycie. Wiedziałem, że uczęszczała od czasu do czasu na Sorbonę, lecz nie sądziłem, że jest w tym coś poważnego. W tym też okresie utraciła swój faszyzm.

Z Carol nie mam kontaktu z własnej winy. Carol była przyjaciółką mojej żony i mnie oddaną jak siostra, choć ja z niecierpliwością znosiłem ten „babiniec". Lecz na pewno pamięta mnie, jak ja ją. Carol żyje z kimś obecnie, prawdopodobnie odseparowanym (nie wiem, czy już istnieją rozwody w Hiszpanii). On ją nosi na rękach. Człowiek prosty umie, jak wszyscy Hiszpanie ocenić czyjąś wyższość.

Włodek (rysunek)



Wilek Markiewicz, Włodek

Włodek urodził się przed wojną w polskim więzieniu. Matka – Żydówka, była aktywną komunistką i nazwała syna od Lenina. Ojciec, prawdopodobnie również Żyd, zginął podczas jakiejś akcji bojowej przed, czy podczas wojny. Rosjanie, gdy weszli do Polski

wywieźli ją z dzieckiem do Azji Centralnej i tam przestała być komunistką. Z zawodu była pielęgniarką i gdy protestowała, że Uzbeków i Kozaków się szczepi tą samą igłą, otrzymała odpowiedź: „Eto zwieria (to są zwierzęta), nic im się nie stanie". Napisała protest do Moskwy i zawezwano ją: „twym protestem wymyliśmy okna, zamknij gębę, albo pójdziesz skąd się nie wraca".

Zamieszkali w Paryżu, matka zagorzała antykomunistka, zaś syn – trockista. Przychodził pokrwawiony z ulicznych bijatyk. Posiadał wybitny talent malarski, lecz między ideologią i matką, która chciała natychmiast skapitalizować jego prace, nic z tego nie wyszło. Nawet grupa francuskich arystokratów zainteresowała się jego talentem i finansowała go przez jakiś czas. Lecz nie mieli pojęcia o sztuce i wszystko rozbiło się – o politykę. Włodek wegetował, wysoki i chudy wyglądał na Don Kichota. Bez kondycji fizycznej, ani silnego charakteru, nie wiem, co się z nim stało. Bez konkretnego powodu, nie mam dobrego przeczucia.

W krzywym zwierciadle Jerzego Kołacza

Joanna Sokołowska-Gwizdka

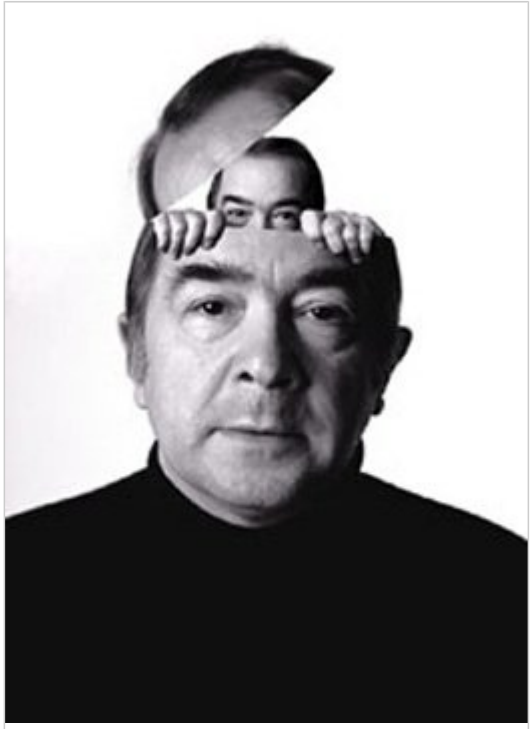

Jerzy Kołacz, Autoportret.

Prace Jerzego Kołacza (1938-2009) są znane, nie tylko w kręgach koneserów i nie tylko w Polsce, Kanadzie czy Stanach Zjednoczonych. Jego obszar poszukiwań twórczych był szeroki, ale nie jest to sztuka popularna i łatwa, mimo, że pełni rolę sztuki użytkowej. Rysunki, grafiki, plakaty, okładki książek czy ilustracje odwołują się do intelektu i spostrzegawczości odbiorcy. Czasami, dla bystrego obserwatora są czytelne i oczywiste od razu, a czasami trzeba je studiować, zagłębiając się stopniowo w labiryncie powiązanych ze sobą skojarzeń. Są rebusami ludzkich przywar i ułomności, obrazują ukryte myśli większej części ludzkiej populacji. Zdają się wołać: „To my-ludzie", „To nasz świat". Nie ten z reklam, afiszów, kina telewizji i całej reszty popkultury. Nie jesteśmy piękni, młodzi, o nieskazitelnej urodzie duszy i ciała. Jesteśmy ułomni, egoistyczni i sprośni. Myślimy o sobie, pieniądzach, seksie i wielu, wielu innych rzeczach, które zwykle nie są przedmiotem rozmów towarzyskich. Nasz świat zewnętrzny ukryty jest w naszej głowie, zamknięty szczelnie w naszych myślach. Jerzy Kołacz w swojej twórczości graficznej i ilustratorskiej próbował dociec sedna motorów kierujących ludzkim postępowaniem i przedstawiał je w sposób karykaturalny lub groteskowy. Dość częstym elementem jego prac jest otwarta głowa, można więc „zajrzeć" do jej środka. Widać wtedy wyraźnie, że każdy tak na prawdę prowadzi swoją politykę „grając własną grę pionkami i na głowie kogoś drugiego", że to kobieta kieruje postępowaniem mężczyzny „rozniecając iskrę w jego głowie" itd. Innym charakterystycznym

elementem prac są ręce. Np. podając komuś rękę ukrywamy w niej węża. Ważną rolę w twórczości artysty odgrywają wyraziste gesty. To one zwracają uwagę widza kierując jego odbiorem.

Jerzy Kołacz przedstawia portrety nas samych. Nie są to twarze, domy, ulice czy krajobrazy, ale nasza psychika, która jest rzeczywistością, samą w sobie i należy stanąć wobec niej twarzą w twarz. W wyniku połączenia formy, warsztatu i treści powstaje specyficzne zwierciadło sztuki, które z wyrafinowaną wręcz dokładnością odbija nasze twarze, dusze i odarte z jakiegokolwiek kamuflażu, nasze myśli.

Jak gdyby przeciwległym biegunem sztuki użytkowej jest malarstwo artysty. Abstrakcyjny świat kolorów, kształtów i faktur interpretuje emocje i stan umysłu. Dotyka sfery ducha i odwołuje się do wrażliwości odbiorcy. Jeśli widz jest otwarty, odbije tę abstrakcyjną, właściwą artyście rzeczywistość. Malarstwo Jerzego Kołacza jest podkreśloną światłem, nastrojową poezją, wizualną muzyką, jest pobudzającym wyobraźnię niedopowiedzeniem. Nie wiele ma wspólnego z groteską. Jerzemu Kołaczowi udało się jednak utrzymać balans pomiędzy tak odmiennymi nurtami twórczości artystycznej, sztuką użytkową, a malarstwem, pomiędzy deformującą świat karykaturą, a poszukiwaniami ewokacji ludzkich emocji.



Harvest



Playground

Pamiętam jedną z wystaw w Toronto zorganizowaną przez GabaArt Gallery pt. „Oczami artysty”. Została wtedy zaprezentowana jedynie sztuka użytkowa Jerzego Kołacza, w postaci grafik, rysunków, ilustracji, prac czarno-białych i kolorowych. W czasach, gdy popkultura kreowana przez media stara się zawładnąć ludzkimi umysłami, ta intelektualna zabawa z widzem ma ogromne znaczenie. Przewidywania zarówno Georga Orwella („Rok 1984”), jak i Aldousa Huxleya („Nowy wspaniały świat”) zdają się sprawdzać. Zagraża nam zarówno rozwijająca się technologia, która sprzyja ingerowaniu w nasze wnętrze, pozbawiając nas autonomii, jak i możliwość pokochania opresyjnego systemu reklam i adorowanie wszystkich osiągnięć techniki współczesnego świata, ograniczających zdolność naszego myślenia. „Wszystko, co musi pani zrobić, to włączyć przycisk i cały świat: komedię, dramat, wszystkie barwy życia ma pani w zasięgu ręki” – powiedział sprzedawca instalujący telewizor w filmie z lat 50-tych pt. „Wszystko, na co niebo zezwoli” Douglasa Sirka. Teraz doszedł bombardujący nas świat wirtualny, który z jednej strony, skraca drogę komunikacji międzyludzkiej, ale z drugiej staje się zagrożeniem dla indywidualności i może prowadzić do uzależnienia światem nierzeczywistym.

Dlatego krzywe, intelektualne zwierciadło Jerzego Kołacza jest tak istotne. Sztuka użytkowa jest sztuką powszechną, dociera daleko i do szerokiego odbiorcy. Jako wartość artystyczna jest

globalna i uniwersalna. I mimo, że dla przeciętnego widza może być czasami trudna, działa na wyobraźnię.

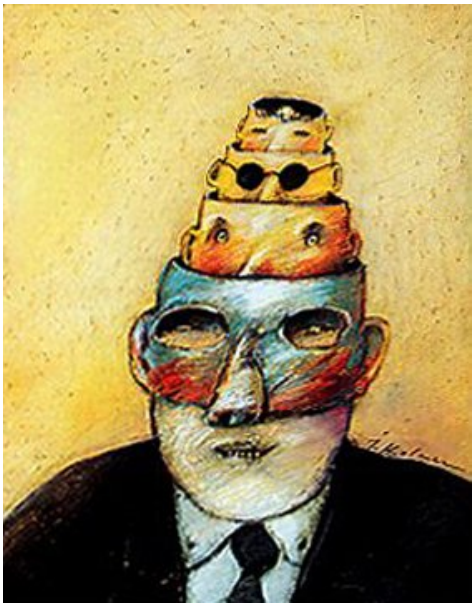

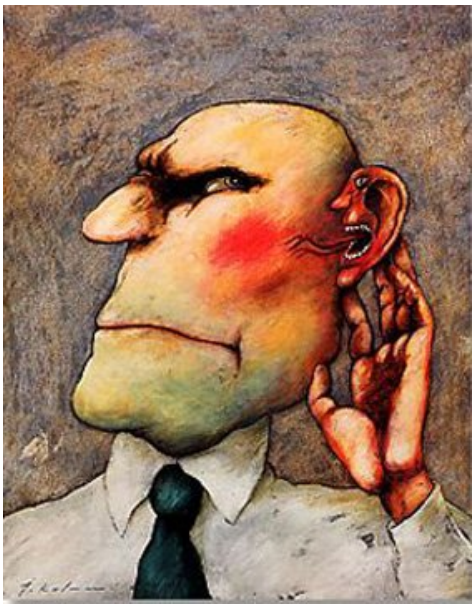

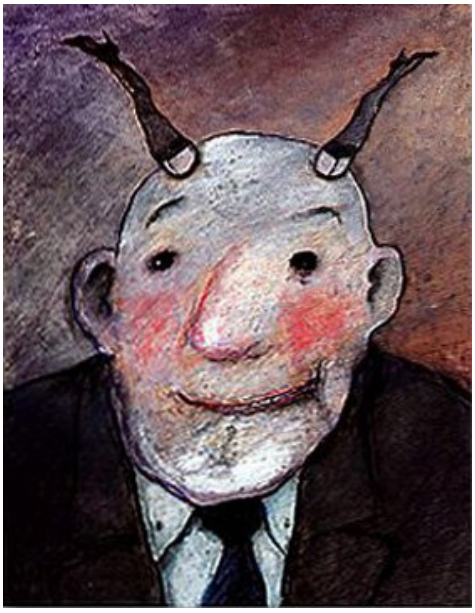



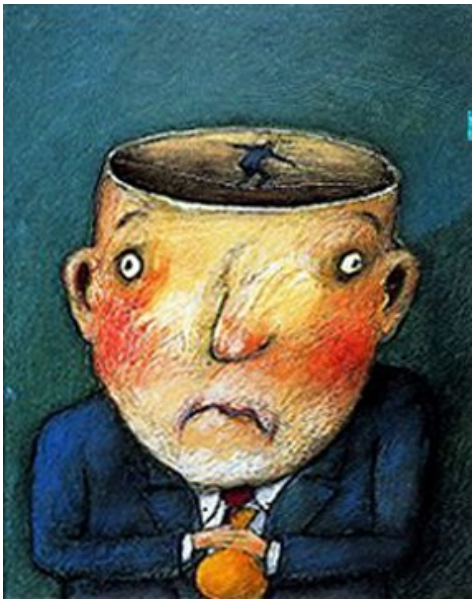

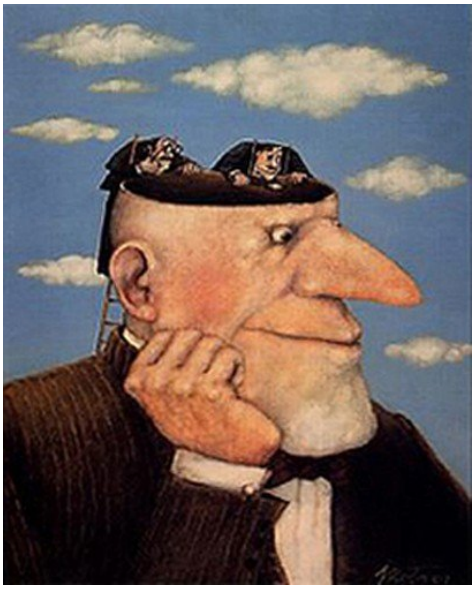

***

Jerzy Kołacz urodzony w Polsce w 1938 roku, zmarły w 2009 roku w Toronto, był absolwentem Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Grafikę studiował w pracowni Henryka Tomaszewskiego, a malarstwo u Wojciecha Fangora. Mimo, że znany był głównie jako twórca sztuki użytkowej (plakat, okładki książek, ilustracje), z malarstwem nie zerwał i te dwa

uzupełniające się wzajemnie nurty, rozwijał równolegle. Do Kanady przyjechał w 1978 roku, już jako uznany artysta, z szeregiem wystaw na swoim koncie. Od 1963 roku jego prace były pokazywane w Polsce, Niemczech, Austrii Czechosłowacji, na Węgrzech, w Holandii, Anglii, Danii, Belgii, Szwecji, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Jerzy Kołacz został wybrany do Royal Canadian Academy of Fine Art, a *Communication World Magazine* wymienił go w grupie dziesięciu ilustratorów na świecie, którzy odnieśli największy sukces. Artysta otrzymał wiele nagród za obrazy i ilustracje, w tym srebrne i złote medale oraz nagrody uznania przyznane przez Communication Arts Award (1979) i Toronto Art Directors' Club (1981-1991). Jego prace publikowane były w periodykach *Avenue, Canadian Business, Chateleine, City, City Woman, Commentator, Enroute, Executive, Finantial Post, Finantial Times, Globe & Mail, Homemakers, Quest, Report on Business, Saturday Nignt, Toronto, Toronto Life, Toronto Star, Boston Blobe, Businessweek, Esquire, International Wildlife, The progressive, Rolling Stone, World Magazine, Ca M'Interesse*, jak również w pismach wydawanych w Anglii, Szwajcarii, Hiszpanii, Portugalii, Norwegii, Szwecji, Australii, Kolumbii, Republice Południowej Afryki, Włoszech, Francji, Niemczech, Izraelu, Tajwanie, Hong Kongu, Malezji i Japonii. Ponadto jego twórczość była prezentowana w *American Illustration* i *Communication Business* (USA), *Graphics* (Szajcaria), *Idea Magazine* (Japonia), *Projekt* (Polska), *Novum-Gebrauchsgraphic* (Niemcy) i *Zoom*

(Francja/Anglia).

Galeria

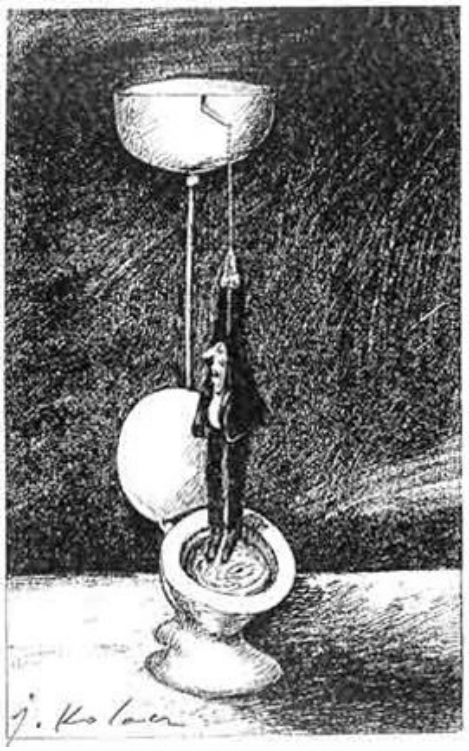

















Malarstwo



By the River



Shakespeare



Departure



Playground



Manuscript1



Manuscript 2

Książki dla dzieci uczą świata



Małgorzata Piotrowska

Z polską rysowniczką tworzącą w Norwegii, Małgorzatą Piotrowską, rozmawia Marta Tomczyk-Maryon.

Marta Tomczyk-Maryon: Skończyłaś poważne studia na renomowanej uczelni, czyli warszawską Akademię Sztuk Pięknych na Wydziale Projektowania Graficznego. Dlaczego zajęłaś się ilustrowaniem książek dla dzieci? Od początku miałaś taki pomysł na życie i karierę zawodową?

Małgorzata Piotrowska: Oczywiście nie miałam takiego pomysłu. Studiowałam Projektowanie graficzne, czyli plakat w pracowni Macieja Urbańca. Od początku ciągnęło mnie jedna do literatury i obrazu. Mój dyplom to były plakaty, ale wybrałam sentencje z Gogola i Czechowa, które mi się podobały i zrobiłam do nich rysunki. Na przykład do zdania „Każdą rzecz można pogorszyć, chcąc ją uczynić lepszą". Namalowałam do tego obrazek pięknego jabłuszka, w którym odbijał się ogryzek. W czasie studiów miałam również kontakt z wydawnictwami, dostawałam okładki do zaprojektowania. Czytałam dużo literatury. Nie wiedziałam, co chcę robić, ale miałam poczucie, że studia to przeciągnięcie o pięć lat poczucia, że „wszystko mogę", gdy tak naprawdę potem nie będę mogła już nic.

MTM: Czy słowo było dla ciebie równie ważne jak obraz?

MP: Tak. Ważne dla mnie były również teksty piosenek, czyli

tzw. poezja śpiewana. Wychowałam się na Młynarskim, Kabarecie Starszych Panów, Grechucie, Magdzie Umer. Słowo było ważne, ale nie słowo powiedziane wprost, tylko takie, za którym kryje się jakaś tajemnica, obietnica. Ale wracając jeszcze do studiów, to Urbaniec mi powiedział, że na pewno będę się zajmować ilustracją. Od razu zauważył moją malarskość, impresjonistyczność.

MTM: Wygląda na to, że jesteś „urodzoną ilustratorką".

MP: Zawsze wydawało mi się, że książka dla dzieci ma duży potencjał, że można w niej mówić o rzeczach ważnych, ale, że można też z przymrużeniem oka schować się za zabawę. A poza tym jestem dużym dzieckiem. To dziecko jest we mnie cały czas. Zawsze byłam zafascynowana ilustracją w książkach dla dzieci. Jak byłam dzieckiem kochałam oglądać i „obwąchiwać" książki.

MTM: Jakie cechy ma według ciebie dobra książka dziecięca?

MP: Tak naprawdę wszystko zależy od tego, co lubisz. Będę jednak przy tym trwała, że dobra książka dla dzieci powinna zawierać humor. Nie lubię ciężkiej literatury dziecięcej, która zmaga się z trudnymi problemami.



Ilustracja z serii „Fire sider av en katt” (Cztery strony kota),



Ilustracja z serii „Fire sider av en katt” (Cztery strony kota).

MTM: Teraz będzie banalne pytanie: czy trudno zrobić dobrą książkę dla dzieci?

MP: Jakby było łatwo to miałabym same bestsellery (Śmiech).

MTM: Gdzie leży największa trudność?

MP: Każda moja książka zaczynała się od impulsu.

Przypuszczam, że tak samo jest z pisaniem. Wychodzę od jakiejś sytuacji, która się stopniowo sama rozwija. Często sobie coś tam notuję, szkicuję. I nagle z jednego spontanicznie zapisanego szkicu buduje się historia. Ale na tym polega trudność, na ułożeniu wciągającej historii. Książka powinna mieć swoje tempo, punkty dramaturgiczne, powinna być zbudowana trochę filmowo. Tworzenie książki jest jak reżyserowanie, bo trzeba sobie poradzić zarówno ze słowem, jak i z obrazem, a więc panować nad „aktorami".

MTM: W jaki sposób zamieszkanie w Norwegii wpłynęło na twoją twórczość?

MP: Po przeprowadzce do Norwegii, zaczęłam myśleć, że w książkach dla dzieci nie musi istnieć tylko bajkowy świat. Pogodziłam się z tym, że książki mogą być osadzone w codzienności, w rzeczywistości. I że w tym też można szukać poezji i głębi transcendentalnej. Mieszkasz tutaj i zaczynasz patrzeć. W każdym miejscu coś nowego ci się otwiera. Uświadamiasz sobie coś, o czym nie myślałaś wcześniej.

Zaczynasz nasiąkać norweskością, również poprzez wrażenia wzrokowe. W moich obrazkach pojawiły się klimaty norweskie: morza, lasy, góry. Norwegia ma bajkowe krajobrazy, więc rozbudowuje wyobraźnię. Jeśli pojedziesz na norweską prowincję zobaczysz jak morze spotyka się z niebem, zobaczysz wodospady,

mgły. Wcześniej tego nie widziałam, nie miałam olśnień czymś tak bajecznym. Na przykład niezwykłym światłem, jakie tu jest, tym, co się dzieje podczas białych nocy, gdy niebo jest niemal białe a kontury wszystkiego są czarne, i że to wszystko odbija się w wodzie. Jasne niebo i czarne kontury. Że zachód słońca jest kontrastowy, ostry. Jak człowiek jest wzrokowcem, to wchłania w siebie wszystkie obrazy. W Norwegii przeszło całe moje dorosłe życie, tutaj dojrzałam, stałam się mamą, patrzyłam jak moje dziecko się rozwija, jakich ma kolegów, jak dzieci tutaj się zachowują. Wszystkim tym nasiąkasz i potem wkładasz bardziej lub mniej podświadomie w swoje książki.



Ilustracja z serii „Fest og feiring” (Święta i celebrowanie).

MTM: Czy na przestrzeni lat zmieniała się twoja technika?

MP: Tak. Najpierw byłam zafascynowana akwarelą. Płynące akwarele zaczęły się jeszcze w Polsce, gdzie udało mi się zrobić jedną książkę dla dzieci. Zilustrowałam baśnie hiszpańskie pt. *Cztery pomarańcze miłości* (aut. Carmen Bravo-Villasante, wydane w r. 1987). Było to niestety wydane na fatalnym papierze, jednak ilustracje stworzone techniką płynącej akwareli wyszły dobrze. Z czasem zaczęłam jednak chcieć panować nad farbą. Może wynikało to z cech mojego charakteru, z tego, że zaczęłam lepiej panować nad swoim życiem (śmiech)? Chciałam wykorzystywać tę technikę bardziej świadomie, a więc, że pozwolę płynąć tej wodzie, ale nie do końca, że w pewnym momencie ją zatrzymam. A potem zaczęłam potrzebować większego kontrastu, uderzenia formy, przestałam się bać pokazać swoją kreskę. Już jej nie zamazywałam, jak wcześniej, gdy pracowałam bardzo cienkim rapidografem z tuszem w środku, tak żeby te kontury i kreseczki znikały. Był cień, rozlewanki, ale kreski nie było widać. W ostatnim czasie pojawia się więc kreska i zamaszystość. I to mi się bardzo podoba, bo pomaga grać na bardzo różnych strunach, znajdować mocne akordy. Często buduje to ciekawą narrację.



Ilustracja z serii „Fest og feiring” (Święta i celebrowanie).

MTM: Jakie książki polskich autorów cenisz?

MP: Wychowałam się na Brzechwie, jak podejrzewam, każdy z mojego pokolenia. Na Tuwimie trochę mniej. Brzechwę uwielbiałam za jego abstrakcyjny humor, za jego cudowne historyjki i wierszyki. Jedną z moich ulubionych książek była *Na wyspach Bergamutach* z ponadczasowymi ilustracjami Zamecznika, obrazkami, które tak naprawdę mogłyby być zrobione teraz. Lubiłam też prace Mirosława Pokory. Zilustrował świetną książeczkę *Babcia na jabłoni*. Oczywiście także Butenko. *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa*, *Cyryl gdzie jesteś?* Te książki miały trochę z kryminału, miały akcję, dużo humoru,

zarówno w tekście jak i ilustracjach. Zawsze lubiłam takie opowieści i może dlatego jestem tradycyjna w moich poglądach na książki dla dzieci. Mam więc wątpliwości, co do trudnych, czasem drastycznych tematów, które są obecnie lansowane w literaturze dla dzieci. Zastanawiam się czy one pasują do książek dla dzieci. Choć z drugiej strony, myślę, że też jest dla nich miejsce i że takie książki powinny powstawać. Jednak nie należy się dziwić, że nie są pierwszym wyborem czytelniczym.

MTM: Co sądzisz o współczesnej książce skandynawskiej dla dzieci?

MP: Norwegowie poprzez swój pragmatyzm reagują szybko na to, co się dzieje w codzienności. Zmiany w świecie, aktualne problemy niemal natychmiast pojawiają się w norweskich książkach dla dzieci. Ale jednocześnie norwescy pisarze mówią o tych problemach językiem przystępnym, ciekawym i niepozbawionym dobrej literackości. Podziwiam ich za to, że potrafią oddać istotę problemu, jego ciężar, a przy tym nadać mu pewną lekkość i przyswajalność. Pamiętam piękne słowa Sveina Nyhusa, dotyczące Breivika, które padły w jednym z wywiadów dla polskich czytelników. Zapytano go czy mogłaby powstać książka dla dzieci o kimś takim. Odpowiedział, że tak, bo dzieci o to pytają i trzeba im odpowiedzieć. Wyjaśnił, że dzieciom się mówi, że to jest chory człowiek. To takie oswajanie problemu. Mnie by to nigdy do głowy nie przyszło, ale szanuję Norwegów

za to, że w bestii potrafią się doszukać człowieczeństwa. To głęboki humanizm.

MTM: A czy podjęłabyś się karkołomnego zadania porównania polskiej i skandynawskiej literatury dla dzieci? Chodzi mi przede wszystkim o różnicę, bo myślę, że podobieństwa są łatwiejsze do wskazania.

MP: Na pewno polska książka dla dzieci jest lżejszego kalibru niż skandynawska. Bardzo często jest ona „zabawą dla zabawy". Jednak teraz np. poprzez kontakty między wydawnictwami i globalizację wszystko zaczyna się przenikać. Efektem tego jest np. pojawianie się trendu edukacyjnego, w Polsce w książkach Mizielińskich, a w Norwegii u Anny Fiske. Książki stają się coraz bardziej interaktywne, czytelnik musi czegoś szukać, coś budować.



Ilustracja z serii „Fest og feiring” (Święta i celebrowanie).

MTM: Dlaczego książki dla dzieci są ważne?

MP: Są ważne, bo uczą świata, najpierw czytać, potem kojarzyć pewne rzeczy, łączyć obraz ze słowem na podstawowym poziomie. Potem pomagają formułować swoje myśli, żeby można było się coraz lepiej komunikować ze światem. Potrafią również ten świat jakoś tłumaczyć i znaleźć wskazówki. Po prostu kształtują i tyle. Dzieci zaczynają lepiej mówić, poszerzają swój język. Uczą się nowych słów, bo tak jak się pisze w książkach, tak się przecież nie mówi na co dzień. Jako małe dziecko miałam taką zabawę, że wypisywałam sobie słowa, których nie rozumiałam i sprawdzałam je w Wielkim słowniku wyrazów

obcych. Było to zabawne, bo czasem były to słowa łacińskie, albo francuskie i nie za bardzo umiałam je wymawiać. Pamiętam jak kiedyś tata wyśmiał tę moją wymowę. Byłam oburzona, bo przecież używam słowa w dobrym kontekście, a on się ze mnie śmieje?!

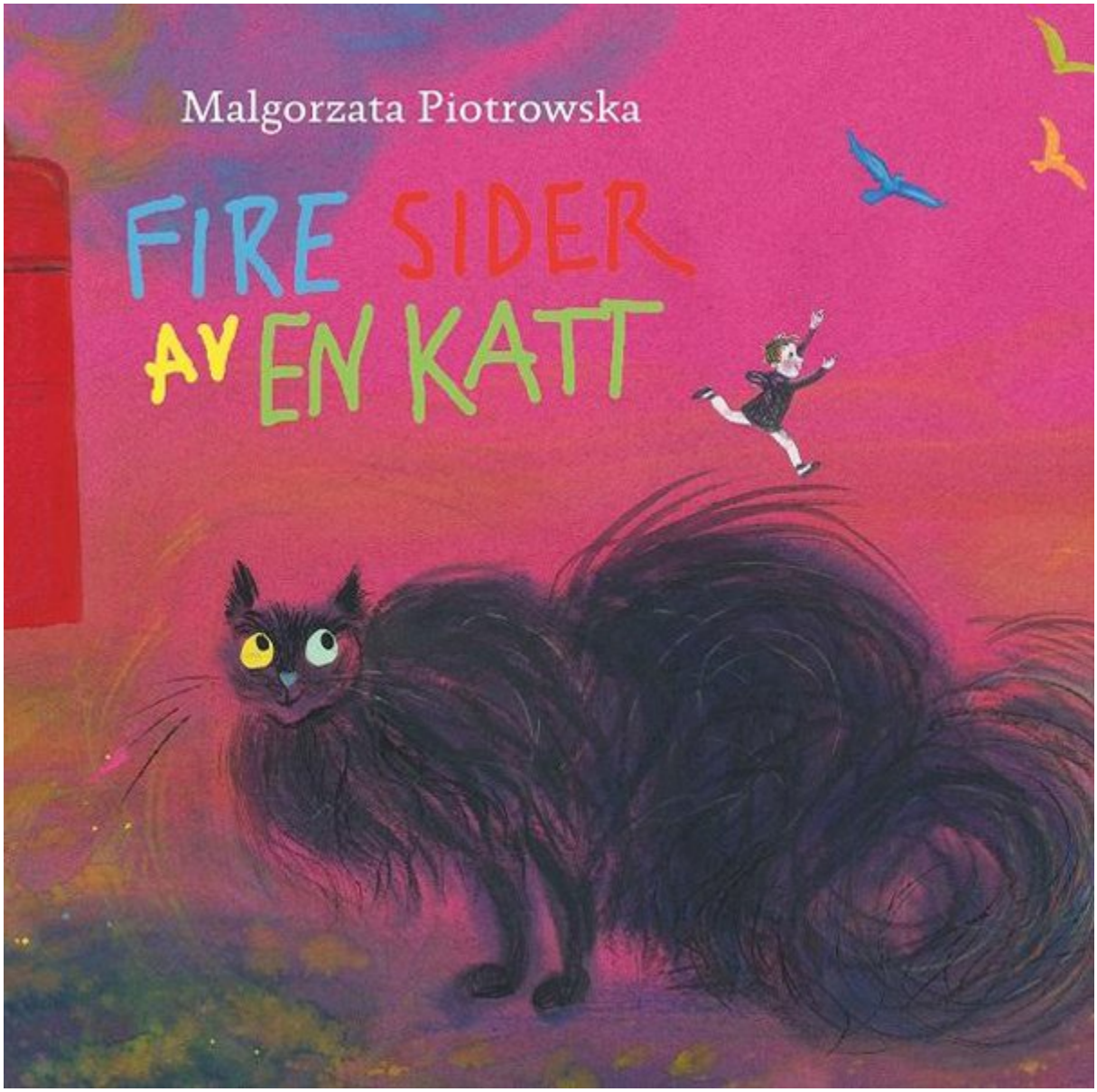

MTM: Pod koniec zeszłego roku wyszła twoja najnowsza

autorska książka *Fire sider av en katt* (Cztery strony kota). Rysunki są przepiękne i z pewnością trafią do serca małych i dużych czytelników. Pokochają tę książkę również miłośnicy kotów, czyli jakieś 50% ludzkości. Skąd u ciebie taka miłość do kotów?

MP: Cztery strony kota – czyli spokój i samotność freelansera postawiona na głowie z powodu pewnego kota, który w mroźny, zimowy wieczór pojawił się u nas i postanowił z nami zamieszkać. Ten projekt budował się długo, powstawał z fascynacji i obserwacji kociego absolutnego bycia i życia.

Pracownia w domu ma to do siebie, że można w niej utknąć i w ogóle nosa na świat nie wystawiać. W okresach dużego natłoku pracy albo posuchy i desperackich rozmyślań, co by tu zrobić, żeby dostać nowe zlecenie, staje się swego rodzaju pustelnią, śmietnikiem, gdzie fruwają nieposegregowane, okruszki pomysłów, papiery, farby, notatki, szkice, wzloty i frustracje. I nagle w ten cały mikrokosmos wkracza czarne kocisko, pojawia się świat zupełnie nieznany lecz fascynujący.

Jest takie powiedzenie „jesteś całym moim światem „. Kot w pracowni rozrasta się do rozmiarów wielkiego krajobrazu, w którym wciąż coś się dzieje. Ja staję się jego obserwatorem, skrupulatnie notującym, szkicującym, to, co podsuwa mi samo życie. Tak więc kot w mojej historii jest ogromny, nie jest

zwykłym kotkiem, którego bierze się na kolana i głaszcze. Jest kotem tajemniczym, niezależnym, zresztą sama nazwa długowłosego kota norweskiego ma w sobie magie – Leśny, norweski kot.

Kot chce wejść, za chwilę wyjść, potem znowu wejść, zbiera w swoje futro kolorowe papierki walające się po pracowni, potrafi otrzeć się futrem o rozrobione farbki, pije brudną wodę z naczynka do płukania pędzelków, w mojej wyobraźni jest coraz bardziej kolorowy. Kiedy wraca do domu przynosi w sierści okruszki świata, po którym buszuje: patyki, listki, ślimaki, zasuszone muszki, ale też ptaszki i myszki. Kiedy pada śnieg staje się niemal biały i w prezencie przynosi płatki śniegu na czarnej sierści. Po tym, co wnosi na swoim futrze poznać można zmieniające się pory roku. Czarny kot ma w sobie wszystkie kolory świata.

Stąd pomysł na kota, który zmienia się wraz z czterema porami roku. Chłopiec w mojej historii, nie umie znaleźć dla niego odpowiedniego imienia. Najpierw nazywa go Zima, potem Wiosna, potem Lato, a potem Jesień, by w końcu znaleźć mu imię, które na prawdę do niego pasuje.

W Norwegii panuje taki zwyczaj, że rodzice czekają z imieniem jakiś czas, żeby lepiej poznać swoje dziecko – trochę dziwne prawda?, ale wpisało się świetnie w ten pomysł. A cztery strony

kota w tytule są nie tylko nawiązaniem do czterech pór roku. Są bardzo realne, bo na końcu jest propozycja zabawy, czyli przepis na wycięcie sobie z papieru kota- zakładki do książek. Kota z czterema stronami i pokolorowanie go w cztery pory roku. Jako dziecko robiłam sobie takie zwierzaczki i lalki i bawiłam się nimi, więc dużo wspomnień i moich chwilek jest w tej książce.



MYM: W 2016 roku za cykl książek *Fest og feiring* (Święta i celebrowanie/obchodzenie świąt) razem z Gudny Ingebjørg Hagen, która jest autorką tekstów zostałaś uhonorowana Brage Prisen, jedną z najważniejszych nagród literackich w Norwegii. Serdecznie gratuluję. Jury doceniło zarówno pomysł serii, jak i wykonanie, a więc tekst i twoje rysunki. Na czym polega wyjątkowość tego projektu? Czy praca nad nim stanowiła wyzwanie?

MP: Seria książek o świętowaniu i świętach w różnych religiach, którą tworzyłam z Gudny to zupełnie coś innego. Ogromna praca ze stworzeniem wiarygodnego miejsca, osób, detali. Wymagała intensywnej i ścisłej współpracy z autorem i redakcją. Były różne fazy. Najpierw zostałam wybrana spośród innych ilustratorów. Potem była faza zbierania materiałów do poszczególnych świąt, czyli spotkania z ludźmi z różnych kultur, którzy byli skłonni opowiadać, pokazywać zdjęcia, wpuszczać nas do swoich domów, żeby pokazać swoją kulturę. To są ludzie, którzy tu żyją i są zintegrowani, funkcjonują w norweskiej kulturze, ale jednocześnie mają swoje religie, obyczaje. I trzeba to było pokazać, że chociaż różnią nas religie to świętujemy podobnie – w radości oczekiwania, szykowania się, przygotowywania jedzenia, są bliscy, często drobne prezenty, niespodzianki. Chodziło przede wszystkim o pokazanie, jak jesteśmy wszyscy do siebie podobni. Czułam się trochę jak demiurg, bo to ja miałam stworzyć to miejsce, tę ulicę, na której ci wszyscy ludzie mieszkają. Stworzyć wiarygodne postaci dzieci i dorosłych, stworzyć ramę i furtkę, która otwiera w podobny sposób każdą z książek tej serii.



Ilustracja z serii „Fest og feiring” (Święta i celebrowanie).

Potem była faza dokładnych, czarno-białych szkiców z detalami, które można było dokładnie zobaczyć i ewentualnie zmieniać. Detale musiały być sprawdzone przez konsultantów. Po raz pierwszy w taki sposób pracowałam w takiej dyscyplinie, ale jednocześnie było to też pole do popisu, żeby okrasić to swoim humorem, coś od siebie dodać. Jako polski ilustrator mogłam dołożyć do historii z książeczki Boże Narodzenie, gdzie występują dwie rodziny protestanci – Norwegowie i Polacy – katolicy, polski wigilijny stół z dodatkowym nakryciem i opowiedzieć o tym polskim zwyczaju. Pozwoliłam sobie też na napisanie po polsku „Wesołych świąt” na jednej z ilustracji. Bardzo dużo dowiedziałam się o genezie świętowania w tych

pięciu religiach. Biorąc pod uwagę, że mam już swoje lata i wielu rzeczy nie wiedziałam, są to ważne książeczki w ogólnej edukacji, w świecie, który tak się wymieszał, tak nas podzielił, ale jednocześnie do siebie zbliżył. Musimy się poznać, zaakceptować, polubić i zrozumieć.



Ilustracja z serii „Fest og feiring” (Święta i celebrowanie).

***

Małgorzata Piotrowska (ur. 1957) jest jedną z najciekawszych ilustratorek książek dziecięcych w Skandynawii. Do Norwegii wyjechała w roku 1987 i już niespełna trzy lata później

zadebiutowała jako ilustratorka. Ma na swoim koncie ponad siedemdziesiąt publikacji, w tym osiem książek autorskich: *Oliver hos fuglene, Regnhesten, Et tre, Froskedronningen, Eplekake, Det lille marsvinet og den store katastrofen i hagen, Krokodille til jul, Fire sider av en katt*. Laureatka wielu nagród m.in.: nagrody norweskiego ministerstwa kultury, dwukrotnie nagrody „Najpiękniejsza książka roku" przyznawanej przez norweskie stowarzyszenie rysowników Grafill oraz Brage Prisen. W roku 2015 została również uhonorowana nagrodą „Wybitny Polak w Norwegii" w kategorii Kultura.

Adam Fiala – wiersze i rysunki



Adam Fiala

Adam Fiala od czasu studiów pasjonował się prawem międzynarodowym, stąd jego twórczość nasiąknięta jest polityką. Od lat zajmuje się literaturą, sztuką oraz muzyką (modern jazz, piosenka). Jeszcze w gimnazjum uczył się gry na fortepianie, a potem uczestniczył w studenckim ruchu kabaretowym. Pisząc latami aforyzmy nabrał oszczędności i klarowności języka. Przed stanem wojennym był popularnym autorem wielu książek prozatorskich, stan wojenny przeciął jego życie na pół. Nie czuje do nikogo urazy, lubi Australię, gdzie mieszka od wielu lat i dobrze się w tym kraju czuje. Jego wiersze są nietypowe, o bardzo indywidualnej tematyce i spojrzeniu, są wierszowanymi

mini nowelami.

Piłki i Olimpiady

Mam awersje

do piłek

owszem



Rys. Adam Fiala

gdy Olimpiada

nadejdzie

obejrzę trójskok

kłusowania

czyli biegi

i kaczkującą dreptaninę

czyli chód sportowy

ale przerzucam kanał

gdy zobaczę piłkę

piłki są różnej

wielkości

od wielkich

do dziwnych ćwiczeń

gimnastycznych

po nożne

ręczne

tenisowe

cricketowe

golfowe

ale jest jedna

którą toleruję

biała piłeczka

do ping ponga

Olimpijskie kosiarki

Od Olimpiady w Sydney

wiele się zmieniło



Rys. Adam Fiala

otwierająca uroczystość

zadziwiała świat

kosiarkami do trawy

obecnie

coraz rzadziej słyszymy

odgłosy kosiarek

bo z wodą kłopoty

trawniki

wysypują żwirem

lub czipsami

z twardego drzewa

obawiam się

że w czasie kolejnej Olimpiady

(do trzech razy sztuka)

w Brisbane

zabraknie w ogóle kosiarek

Pytanie

Pytanie zadane

przez przypadkowego

rozmówcę na ulicy



Rys. Adam Fiala

“skąd pochodzisz”

jest zawsze

kłopotliwe

zastanawiam się

czy odpowiedzieć prawdę

czy coś skręcić

ale myślę

że może być

jeszcze bardziej

kłopotliwa odpowiedź

na pytanie

“przybyszu

co zrobiłeś

naprawdę dobrego

dla twego

nowego kraju”

na szczęście

o to nikt nie pyta

Kadłub wieloryba i podręcznik

Na piękną plażę w Perth

Zachodnia Australia

fala wyrzuciła

niezbyt piękny

kadłub

martwego młodego

wieloryba

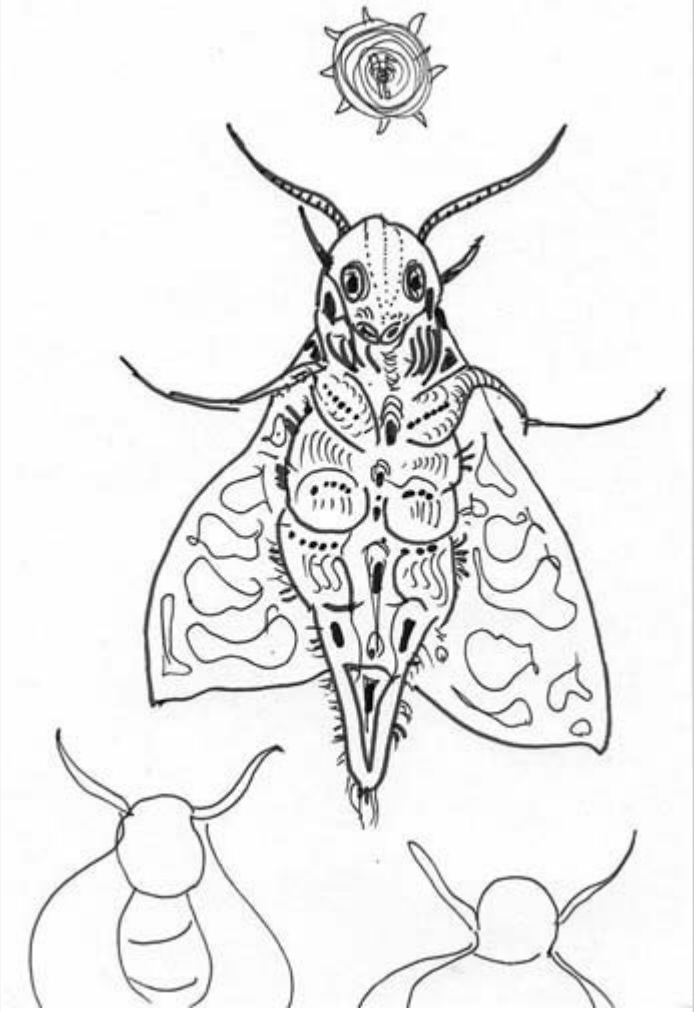

Rys. Adam Fiala

ludzie jak zwykle

się zgromadzili

kadłub odgrodzono

policyjnym pasem

w niebieską kratkę

potem przyjechał dźwig

i załadował kadłub

na traka

pan z bródką zauważył

“zamiast wrzucać

to do dołu

odholujcie łodzią

w głąb Oceanu

bo to naturalne

pożywienie rekinów”

ale nikt nie słuchał

człowieka z tłumu

profesjonaliści

posługiwali się

manualami

które przewidywały

każdą sytuację

Galeria

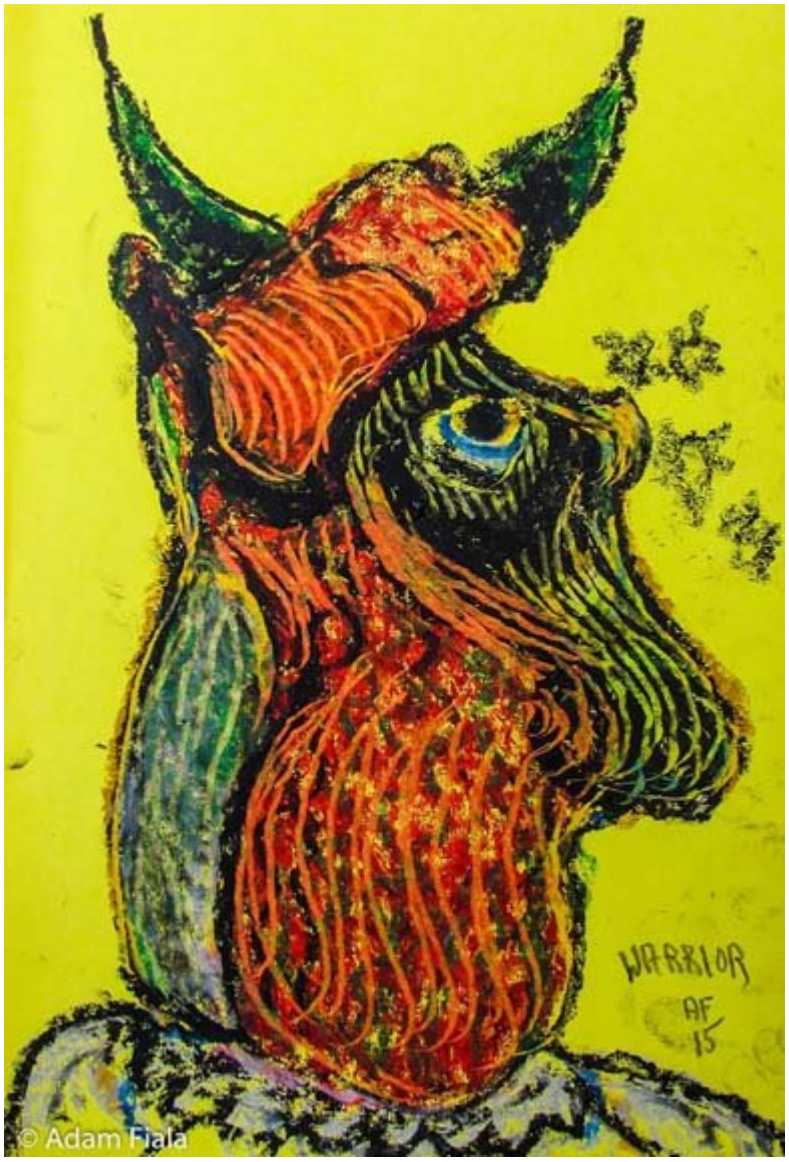
WARRIOR
AF
15
© Adam Fiala


AF
© Adam Fiala

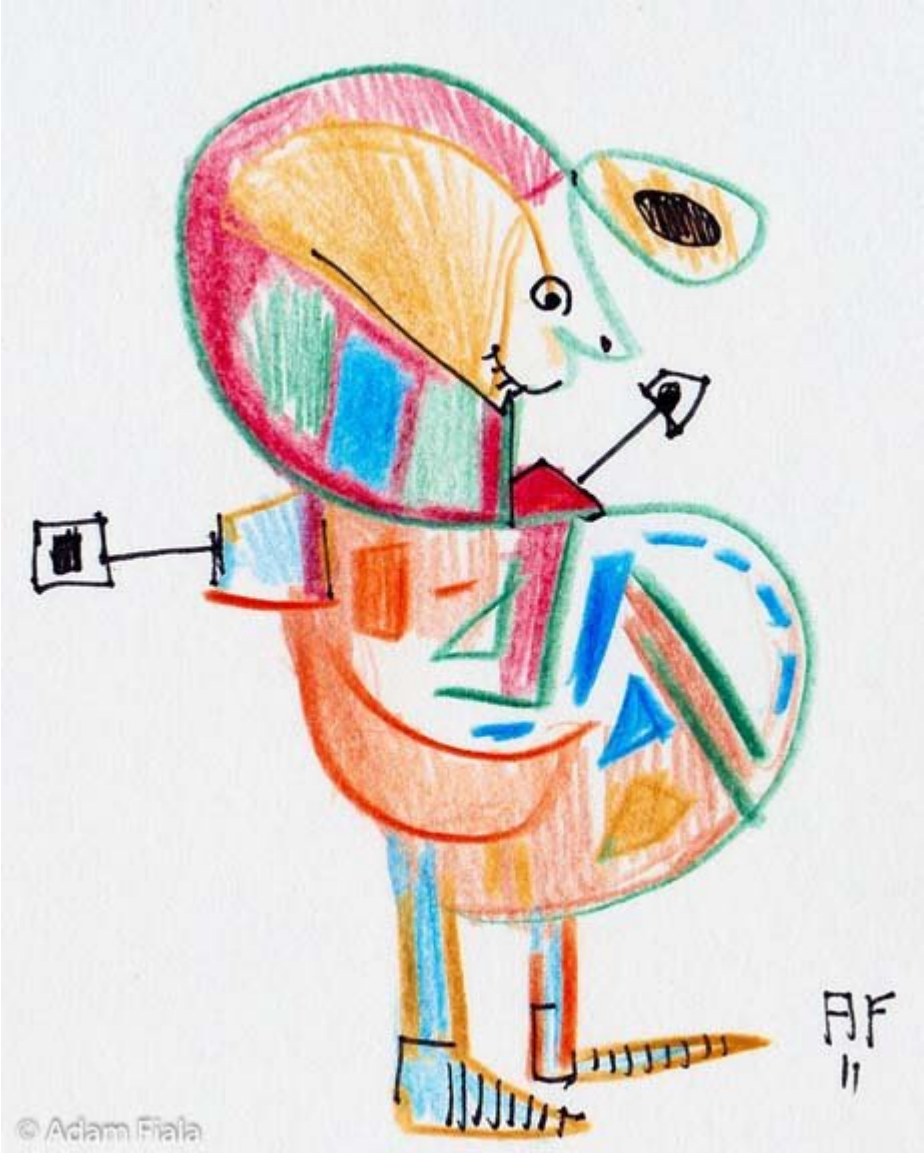

Strona Anny, Adama i Andrzeja Fiali: http://www.fialaart.com/